

SHANE  
NIEMEYER  
Gary Brozek

# SZTUKA CIERPIENIA



GALAKTYKA

Tytuł oryginalny:  
*The Hurt Artist*

Copyright © 2014 by Shane Niemeyer and Gary Brozek  
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Copyright © for the Polish Edition by Galaktyka sp. z o.o., 2015

Galaktyka sp. z o.o.  
90-562 Łódź, ul. Łąkowa 3/5  
tel. +42 639 50 18, 639 50 19, tel./fax 639 50 17  
e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl  
www.galaktyka.com.pl

ISBN: 978-83-7579-454-0

Redakcja: *Bogumila Widła*  
Redakcja techniczna: *Marta Sobczak*  
Korekta: *Monika Ulatowska*  
Redaktor prowadzący: *Marek Janiak*

Fotografie na okładce: *Rocksweeper/Shutterstock, Ben Bryant/Shutterstock*  
Projekt okładki: *Artur Nowakowski*  
Skład: *Garamond*

Druk: *Drukarnia na Księżym Młynie*

Księgarnia internetowa!!!  
Pełna informacja o ofercie, zapowiedziach i planach wydawniczych  
Zapraszamy  
www.galaktyka.com.pl  
e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody wydawcy książka ta nie może być powielana ani w częściach, ani w całości. Nie może też być reprodukowana, przechowywana i przetwarzana z zastosowaniem jakichkolwiek środków elektronicznych, mechanicznych, fotokopiarskich, nagrywających i innych.

Uwaga do czytelników:  
nazwiska i cechy niektórych osób przedstawionych  
w tej książce zostały zmienione.



*Ta książka jest poświęcona wszystkim zagubionym,  
zranionym duszom, które nie potrafią znaleźć  
wyjścia z mroku.*

*Tym, którzy przedwcześnie nas opuścili –  
niech spoczywają w pokoju.*

*Prawdziwa, długotrwała zmiana, choć niełatwa,  
jest możliwa, a wraz z nią przychodzi szczęście.*



## WSTĘP

Na czole czułem chłód betonowej posadzki. Oddychałem chrapliwie, a w brzuchu skręcało mnie od mdłości. Tricepsy drżały z wysiłku, by podźwignąć ciało jeszcze jeden, ostatni raz. Wybiłem się szarpnięciem i omal nie straciłem przytomności. Byłem kompletnie wypompowany. Spróbowałem się powolutku opuścić, ale pole widzenia nagle mi się zwęziło, a dzwonienie w uszach przeszło w łomot. Niezdolny do podtrzymania ciężaru ciała, gruchnąłem na ziemię. Leżałem, próbując zwalczyć napływające falami symptomy odstawienia, łapiąc powietrze haustami jak wyjęta z wody ryba. Zamrugalem, by przegnać z oczu szczypiący pot.

Po kilku minutach przewróciłem się na plecy, położyłem nogi na pryczy, dłonie splotłem za głową i zacząłem robić brzuszki. Mięśnie brzucha, zakopane pod kilkucentymetrową warstwą tłuszczu, piekły żywym ogniem. Zacisnąłem zęby, żeby nie dać się bólowi i dociągnąć do końca serii, zanim poddam się uporczym pojękiwaniom mózgu, bym przestał. Gdy tętno wróciło do normy, wstałem, sięgnąłem po notes i zapisałem bilans pierwszego dnia treningu.

Osiem pompek.

Piętnaście brzuszków.

Dzień pierwszy miałem za sobą. Cieszyłem się, że nazajutrz będę miał kolejną szansę.

Jazgot głosów pensjonariuszy więzienia Ada County, kojarzący się z wariatkowem kociokwik śmiechów, wrzasków i dzikich skowytów, przypominał mi, gdzie jestem. Nie to, że bym musiał sobie o tym przypominać. I nie,

bym chciał pamiętać. Ale wiedziałem też, iż nigdy nie wolno mi zapomnieć tego dnia i czegoś, co zdarzyło się 72 godziny wcześniej – trzy dni temu co do minuty – gdy w innych okolicznościach leżałem plackiem na podłodze tego samego budynku.

Każdy strzęp bólu pamiętam jak w malignie.

Patrzyłem na swoje palce, drżące ze strachu i pierwszych objawów heroijnowego głodu, jak przywiązują drugi koniec przedłużacza do barierki. Pochyliłem głowę i nałożyłem sobie pętlę na szyję. Zadrżałem, gdy zimna, gumowana osłonka przewodu osunęła się na śliską od potu skórę. Przeszedłem za barierkę, obiema rękami trzymając się poręczy za sobą. Metal przyjemnie chłodził lepkie, wilgotne dłonie. Wychyliłem się do przodu i w dół, ale nie puściłem; zgiąłem się w łuk niczym figura na dziobie statku, czując, jak ramiona napinają się pod ciężarem całego ciała.

Tak minęła minuta.

I kolejna.

Łydki piekły, palcami stóp wpijałem się w betonową krawędź, podświadomie walcząc, by się nie ześlizgnęły.

Po twarzy pociekły mi łzy i smarki. W ustach czułem smak krwi wymieszanej z żółcią. Niemal się zakrztusiłem jej kwaśnosłonym smakiem. Czułem tępy puls w skroniach, na szyi i w kroczu; skurczyły mi się jaja.

Cztery metry pode mną betonowa posadzka zakładu penitencjarnego Ada County połyskiwała w świetle jarzeniówek.

Nie tak miało być. Chyba że chodziłoby o jakąś egzekucję, westernowe wieśzanie w samo południe w imię sprawiedliwości. Nie powinienem słyszeć głosów dobiegających z korytarza i słabego bzyczenia radiowęzła, zagłuszającego dźwięk pulsującej w żyłach krwi.

Powinno być ciemno. Gdy chcesz ze sobą skończyć, wszędzie powinno być ciemno. I cicho.

Ale pieprzyć „miało” i „powinno”.

Każ się swojemu mózgowi zamknąć i zrób to wreszcie.

Przynajmniej raz w życiu zrób coś porządnie, cholerny idioto – tę jedną, jedyną rzecz.



Stałem tam na trzęsących się nogach, ze ścięgniami ramion wibrującymi niczym trącone struny gitary. Czy naprawdę jestem w stanie to zrobić, rzeczywiście skończyć to wszystko?

Czterdzieści osiem godzin wcześniej obudziłem się z tyłu mojego vana i z trudem zmusiłem obolale, zeszywniałe mięśnie, by stanąć na czworakach. Zacząłem przegrzebywać swój życiowy dobytek, który raczej przypominał zsyp – kilka utyłanych ciuchów, dziesiątki torebek po śmieciowym żarciu, foliówki i gazety... aż wreszcie znalazłem to, czego szukałem. Wziąłem długi łyk i poczułem, jak przyjemna cierpkość wódki splukuje śluzowaty absmak w ustach. Alkohol rozniecił w trzewiach malutki płomień, symboliczną próbę rozgrzania od środka. Uderzyłem dłońmi o ramiona i rozmasowałem nogi, próbując pobudzić krążenie. Jeszcze parę łyków, kilka dreszczy na skraju hipotermii i byłem gotowy.

Poklepałem kieszenie moich jedynych bojówek, które przechowywały wszystko, czego potrzebowałem – torebeczkę „czarnej smoły”, heroiny najgorszego sortu, sprzęt do ćpania i garść forsya, jaka została mi po ostatniej szybkiej kradzieży. Pospiesznie udałem się do Albertson's, sklepu mieszczącego się na ulicy South Vista w Boise, i kupiłem kilka drobiazgów, by zabrać je do mojej przyjaciółki Grace oraz jej dzieci.

Gdy już zaniósłem zakupy i popatrzyłem, jak dzieciaki ze smakiem wcinają śniadanie, zerknąłem na Grace. Nasze oczy spotkały się na krótką chwilę. Skinąłem głową w stronę korytarza prowadzącego do toalety.

– Jasne. Obsłuż się. – Grace założyła ręce na piersiach i wzruszyła ramionami.

Poszedłem do toalety i usiadłem na muszli. W pomieszczeniu pachniało wilgocią, pleśnią i mydłem marki Dial. Niemal udławiłem się pawiem podchodzącym do gardła. Sięgnąłem ręką do części łazienkowej, otworzyłem oddzielającą ją ode mnie okno i zerknąłem do środka. Zasłonka prysznicowa była splekana i podarta. Na suficie prysznicowa, pośród białych płytek rozpełzły się rdzawe, czerwone, zielone i brunatne plamy, jak na płótnie apatycznego impresjonisty.

Nie kąpałem się od wielu dni, ale zetknięcie z tym naukowym eksperymentem hodowlanym na kafelkach i porcelanie tylko spotęgowałoby mój smrodek

ćpuna; lekko słodkawy zapach zepsutego sera, wymieszany z kwaśną nutą zalewy konserwowych ogórków. Nawet w tym odlotowym stanie dostrzegałem ironię moich wyrafinowanych standardów higienicznych.

Podwinąłem rękaw i zerknąłem na poorane nakłuciami przedramię, upstrzone sinymi, zielonymi, żółtawymi i fioletowymi szramami.

Roześmiałem się smutno i zacisnąłem wytarty pasek wokół ramienia.

Przyganiał. Kocioł. Hera. Kafelki. Ramię. Kim niby jestem, by krytykować czyjś dom i panujące w nim porządki? Po pierwsze, sam nie miałem domu do utrzymania, a po drugie, to, co uchodziło dla mnie za dom, co uchodziło za życie, nie miało nic wspólnego z porządkiem.

Przez chwilę patrzyłem, jak krew w strzykawce pełga i przelewa się niczym ciecz w lampie lava i odchyliłem się do tyłu, w oczekiwaniu na odlot. Trafiłem głową w parę nieskazitelnie czystych ręczników z monogramami. Szybko zmieniłem pozycję i poczułem na czaszce chłód kafelków.

Godzinę później byłem już w gorącym uścisku szeryfki hrabstwa Ada, na przesłuchaniu w pace. Zdjęcia. Odciski palców. Schwyciła mi nadgarstek w żelazny uścisk, a ja poczułem, jak jeden z moich ropni tuż nad jej dłonią pęka... Zgniły smród krwi i ropy dotarł do moich nozdrzy, zanim jeszcze zobaczyłem cały ten syf rozbryźnięty na szybie stojącego obok skanera. Czego innego spodziewać się po ćpunie, który przez ostatnie dziesięć lat, albo i więcej, wkuwał się w niemal każdą żyłę na ramieniu?

Nie kryła obrzydzenia. Ale miałem w dupie to, co sobie o mnie myśli. Niech to się skończy, niech mnie gdzieś położą. I pozwolą mi się cieszyć resztkami wygodnego otępienia.

Tak naprawdę jednak wciąż coś czułem. Głównie rozpacz. Na pewno wycieńczenie. Byłem tak znużony tymi wszystkimi „nigdy”, które jakoś się zmaterializowały. N i g d y nie będę prowadził po pijaku. Mam to za sobą. N i g d y nie spróbuję kokainy. Ależ owszem. N i g d y nie będę się kłui. Jako dowód przedstawiam moje podziurawione ramiona, przestrzenną mapę stopniowego staczania się ku nieuchronnemu upadkowi.

I byłem przerażony – nie aresztowaniem, bo tego doświadczałem już kilkanaście razy. Miałem na myśli inny rodzaj więzienia.

Żaden nałogowiec nie chce być na głodzie. Właśnie dlatego robimy wszystkie te popieprzone rzeczy, po których trafiamy do miejsc takich, w jakim się znalazłem. A skąd wiedziałem, jak wyglądają ci na głodzie? Bo przez kilka ostatnich lat kręciłem się w środowisku największych drani i wyrzutków, a sam byłem najgorszym z nich.

Nie miałem pracy. Nie miałem nic oprócz gaci, kilku koszulek i pary butów. Co gorsza, nie miałem pojęcia, kim jestem albo kim chciałbym być. Byłem bezmyślną maszyną, mającą tylko jeden cel, działającą na wiecznym gazie i odlocie. Ale ta maszyna zaczęła się sypać. Byłem wykończony. Chciałem zwiędnąć, zniknąć i zakończyć ten marny los. Wyniszczony, u kresu wytrzymałości, resztki sił zużywałem już rano na zdobycie paru groszy albo znalezienie dilerka, a na koniec dnia padałem nieprzytomny, by następnego wściekać się, że udało mi się obudzić.

Denerwowało mnie jeszcze jedno: jak mogłem dać się tak kompletnie oamieć produktowi jakichś reakcji chemicznych?

Dlaczego, do cholery, nie mogłem po prostu z tym skończyć?

Co gorsza, nie panowałem nad sobą – narkotyki rządziły mną niepodzielnie – decydowałem (a w każdym razie tak mi się wydawało) jedynie o tym, czy będę żył, czy umrę.

Wybrałem śmierć. O ile gorszy mógł to być los w porównaniu z byciem bezdomnym nałogowcem?

Przez lata nabierałem przekonania, że nigdy nie uda mi się przejść od nałogowca do byłego nałogowca. A na tym etapie nawet nie chciałem się zastanawiać nad próbami zrobienia takiego kroku. Wiedziałem tylko, że mam ograniczoną ilość czasu i energii i muszę jak najlepiej wykorzystać te zasoby do realizacji jednego zadania – skończenia z sobą. Przez ostatnie piętnaście lat nieustannie się oszukiwałem, ciągnąc za sobą łańcuch niespełnionych obietnic, rozpoczętych programów odwykowych, z których sam rezygnowałem albo mnie z nich wyrzucano, mandatów za prowadzenie pod wpływem, kar za posiadanie, ogromu drugich szans, które ulatywały z dymem cracku, rozbitych samochodów, złamanych kości, rozrób i bandytyzmu.

Chciałem skończyć z życiem, którego i tak nie zamierzałem ciągnąć powyżej trzydziestki. Rozpieprzyłem wszystkie związki, w jakich kiedykolwiek byłem,

budziłem się w szpitalach po przedawkowaniu i zastanawiałem się, czemu do diabła komuś chciało się zadzwonić pod 911 i zlorzeczyłem Bogu, że dał na to zgodę. Od lat nie miałem stałej pracy, byłem pijawką systemu ubezpieczeń społecznych i jedyny dobry uczynek, jaki mogłem zrobić, to wypisać się z niego raz na zawsze.

Wreszcie wiedziałem, czego chcę, i w odróżnieniu od czasami chaotycznych prób zdobycia narkotyków, kiedy wszystkie chwytły były dozwolone, to cholerstwo zamierzałem zaplanować skrupulatnie.

Wstałem z ławki, podszedłem do klozetu i sprawdziłem drzwi. Strażnik je zamknął, ale coś się spartoliło. Wystarczyło trochę przekręcić galkę, by usłyszeć głuchy szcęk zapadki (i wierz mi, skojarzenia miałem grobowe) wysuwającej się z zaczepu. Gdyby tak udało się idealnie zgrać obrócenie galki z pociągnięciem, drzwi powinny się otworzyć. Zaskoczyło za drugim razem. Zamknąwszy drzwi, spróbowałem jeszcze raz, żeby cały manewr wszedł mi w krew. Droga wolna.

To była ta łatwiejsza część.

Potem położyłem się na pryczy i zrobiłem coś, co nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy. Zaplanowałem ostatnią rozmowę z osobą, którą skrzywdziłem najbardziej, z kobietą, która pomagała mi i wstawiała się za mną najlepiej jak mogła, choć ja sam spychałem się na taki margines życia, że nie sposób było do mnie dotrzeć, a o sensownej pomocy w ogóle nie mogło być mowy. Ale jej mimo wszystko często chciało się wyciągnąć do mnie rękę. A ja to albo olewałem, albo kąsałem tak dotkliwie, że nie miała wyjścia, jak tylko ją cofnąć, zranioną do żywego i krwawiącą.

Po opracowaniu planu wykręciłem numer – zaledwie kilka godzin przed skokiem w nicość.

– Mamo, to ja, Shane. – Spod pachy spłynęła mi zimna kropla potu, od której przeszył mnie dreszcz.

– Gdzie ...

– Nie. Proszę, mamo. Nie pytaj. To bez znaczenia. Nie chcę, żebyś cokolwiek mówiła. Nie potrzebuję pieniędzy. Nie chcę, żebyś skądś mnie wydostała. Nie potrzebuję kolejnego odwyku. Po prostu chcę, żebyś mnie posłuchała.

Poczułem smak krwi płynącej z przygryzionego wnętrza policzka. Słuchawka cuchnęła camelami bez filtra, aż zgęstniała mi ślina. Próbowałem mówić, ale język zeszywniał mi jak kolek.

– Posłuchaj. Chciałem ci po prostu powiedzieć, że wiem, w czym tkwi problem: we mnie. To ja jestem przyczyną wszystkich kłopotów. Zawsze byłem. I przepraszam. Proszę, powiedz tacie, że mi przykro. I Trentowi. To musiało być dla niego trudne, mieć takiego starszego brata jak ja. Nie chciałem być dla was wszystkich takim ciężarem.

Oddychałem z wielkim trudem. Czulem, jakby ktoś dosłownie ścisnął mi krtań kombinerkami. Chciałem odkrztusić, odpluć, zrobić cokolwiek, by przełamać tę blokadę albo zwilżyć odporne struny głosowe. Miałem wrażenie, że polknąłem garść tych małych, pochłaniających wilgoć woreczków, które producenci sprzętu wkładają do pudełek. Przez chwilę zastanawiałem się, czy właśnie tak się będę czuł ... później.

W słuchawce usłyszałem pochlipywanie mojej mamy, które mnie kompletnie rozkleiło. Po kaszlu i suchości w ustach omal nie utonąłem we własnych wydzielinach. Jedyne, co potrafiłem – to po kilku sekundach i po kolejnym wydechu powiedzieć: „wszystko w porządku, nie martw się”.

Wiedziałem, że muszę trochę zmienić front, bo obrona strategia nie przynosiła nic dobrego ani jej, ani mnie.

– Pamiętasz, jak za szczenięcych lat wziąłem cherokee taty i owinąłem auto wokół słupa telefonicznego? Byłem tak napruty, że pojechałem do dilera chevroleta, ciągnąc za sobą kabel telefoniczny i kawał betonu ze zbrojeniami. Powiedziałem chłopakom z salonu, że to nie mój wóz. A gdy przyjechali gliniarze, mamó, wcisnąłem zapalniczkę w gniazdko, rozgrzałem, a potem wpackowałem ją sobie w dłoń. Musiałem otrzeźwieć. Musiałem ukarać się za to, że znowu wszystko spieprzyłem. Dochodziłem do siebie osiem miesięcy, mamó. Ale sam sobie jestem winien. Wy nie zrobiliście nic złego. To wszystko moja wina. Tylko moja. Przepraszam za każdą krzywdę, którą wam wyrządziłem.

– Shane ... – Głos mamy był jak żabi skrzek, odległy odgłos kojarzący się z zupełnie innym miejscem i czasem, wspomnienie zwichnięcia, którego kiedyś doznałem, a potem je odnowiłem.

– Mamo. Nie. – Wiedziałem, co zamierza powiedzieć znów, po raz tysięczny – że to nie szkodzi.

Szkodzi.

– Mamo. Muszę iść. Ale jeszcze jedno, zanim to zrobię. Gdy opowiadałem ci tamtą historię, powiedziałem, że wydarzyła się, gdy byłem szczeniakiem. Problem w tym, że to samo mógłbym powiedzieć o sobie sprzed dwóch lat i sprzed dwóch minut. Wciąż nie dorosłem. Wciąż nie biorę odpowiedzialności za to, co robię. Ale to się wkrótce zmieni. Są sprawy, którymi muszę się zająć. A ty zatroszcz się o siebie, dobrze? Niezależnie od wszystkiego. Zrobisz to dla mnie? Proszę. Kocham cię i bardzo przepraszam za wszystko. Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszej mamy.

Odłożyłem słuchawkę na widelki i patrzyłem, jak skręcony w sprężynkę kabel tańczy i zmienia długość. Jakimś cudem na nogach jak z waty powlokłem się z powrotem na oddział, pozostawiając za sobą wilgotny ślad rozpacz, żalu i tęsknoty.

Czas do popołudniowej „rekreacji” zleciał jak z bicia strzelił. Aby uniknąć podejrzeń, dołączyłem do reszty na ćwiczenia, z bólu mrużąc oczy w palącym słońcu. Z rękami w kieszeniach swetra spacerowałem wokół „podwórza” – pustego, betonowego placu. Mieliśmy spędzić na zewnątrz 20 minut. Ocenilem, że potrzebuję 12, zacząłem więc liczyć kolejne kroki wokół betonowego wybiegu, niemal namacalnie czując, jak ścierają się podeszwy butów.

Po 480 krokach wróciłem do środka. Hol był cichy, jeśli nie liczyć bzyczenia lamp i trzepotania ćmy, która uporczywie obijała się o jedną z nich.

Mocowanie się z drzwiami trwało dłużej, niż przypuszczałem. Byłem pewien, że reszta więźniów zostanie na zewnątrz przez całą przerwę – że zrobią wszystko, by spędzić jak najwięcej czasu na powietrzu.

Węzły były gotowe, wspinaczka na krawędź ukończona, gdy nagle coś mi się przypomniało. Młoda dziewczyna z naszej szkoły średniej. Nic szczególnego, słomiany blond, buźka jak kowadło. Mary Beth Olinger powiesiła się. Nikt z nas tego nie rozumiał.

Tchórzostwo.

Przejaw słabości.

Pójście na łatwiznę.

Do tego stopnia wszyscy byliśmy tępi. Nie mieliśmy pojęcia, co ją do tego skłoniło i jakie musiała przeżywać katusze. Czula się tak, jak ja się czułem teraz: że nie ma innego wyjścia, trzeba tylko zakończyć ból. Myliliśmy się. Wcale nie była słaba, tylko cierpiała bardziej, niż wówczas sądziliśmy. Teraz już to wiedziałem.

Stałem chwiejnie na krawędzi, zastanawiając się, czy mam w sobie tę siłę. Czy mam jaja. Czy jestem mężczyzną.

Jeszcze tylko jedna myśl. Nie chciałem się posikać i posrać, ale wiedziałem, że to nieuniknione. Biedny pieprzony strażnik. Nie tylko zbierze manto za zepsuty zamek w drzwiach i podwędzenie przedłużacza, ale będzie musiał po mnie posprzątać.

Wciąż te same, kiepskie wymówki, Shane. Jak sądzę, pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Nie ma sensu brać głębokiego wdechu. Po prostu zrób to.

Skoczyłem.

Tak jak większość z nas, Shane Niemeyer lubi sprawdzać granice swoich możliwości. Historia jego życia zasługuje na poznanie i świadczy o tym, co może zdziałać wytrwałość, nawet jeśli nie widać wyjścia z opresji... Shane dowodzi, że każdy może pokonać wszelkie przeszkody i z pasją realizować swoje marzenia.

CRAIG ALEXANDER, PIĘCIOKROTNY MISTRZ ŚWIATA W TRIATLONIE  
I AUTOR KSIĄŻKI „AS THE CROW FLIES”

*Sztuka cierpienia* jest trudną historią o desperackim poszukiwaniu samego siebie, o całkowitym upadku i wreszcie o zwyciężaniu. Triathlon oraz słynny Ironman to tylko jej mała część, choć niezwykle istotna, ponieważ zmieniła bieg zdarzeń i pomogła autorowi wygrać... własne życie. Niezwykle wzruszyło mnie zakończenie, które pokazuje, że mamy prawo popęlniać, a co ważniejsze – także naprawiać swoje błędy.

IWONA GUZOWSKA, MISTRZYNI ŚWIATA W KICKBOXINGU  
ORAZ BOKSIE ZAWODOWYM, MIŁOŚNICZKA BIEGANIA I TRIATLONU

Jakże łatwo oceniać i krytykować, a jak trudno zrozumieć... Wiem, co to uzależnienie i jak trudno przestać pić. Wiem, że dna nie ma... Można spadać niżej i niżej. Wiem też, że uzależnienie to choroba demokratyczna! Nie pyta o wiek, zawód, status społeczny czy płeć. Ale przede wszystkim wiem, że mamy w sobie siłę, aby przestać. I tak jak bohater *Sztuki cierpienia* – odkrywać każdego dnia piękne strony własnej osobowości. Sama robię to codziennie! Polecam.

ILONA FELICJAŃSKA, MODELKA, DZIAŁACZKA SPOŁECZNA

Jeśli nie można z czegoś wyjść, to można przez to przejść. I właśnie tak zrobił Shane Niemeyer. Opowiadając swoją historię, stał się naszym bohaterem.

Osobiście potrzebuję co jakiś czas przejrzeć się w życiorysie innego człowieka. Jest to dla mnie źródło nie tylko refleksji i inspiracji, lecz również siły do dalszego działania.

JACEK WALKIEWICZ, PSYCHOLOG

[www.galaktyka.com.pl](http://www.galaktyka.com.pl)

Patronat medialny:



ISBN: 978-83-7579-454-0



9 788375 794540  
Cena: 39,90 zł (w tym 5% VAT)